

Czarne kamienie

Dawno, dawno temu na wałbrzyskiej ziemi, pośród wzgórz zielonych, w ubogiej chatce mieszkała wielodzietna rodzina – taka, jakich wiele. Matka głównie zajmowała się domem, choć czasem też pracowała w polu. I oczywiście opiekowała się swoimi dziećmi, a miała ich dziewięćoro. Ojciec ciężko uprawiał mało urodzajną ziemię, pomagał w młynie, niekiedy pasał owce i ktusował na dziką zwierzynę. Niestety, często też zapominał, że jest głową tak licznej rodziny i przesiadywał w szynku, grając w karty i pijąc piwo. Dochodziło tam czasem do kłótni i bójek między mężczyznami, którzy wypili zbyt wiele. Gdy panowie szukali zapomnienia w alkoholu, kobiety przejmowały większość męskich obowiązków: pracowały w polu lub obejściu. Z tego też względu nie mogły poświęcać swoim dzieciom tyle czasu, ile by chciały. Choć – co trzeba przyznać – głównie opiekowały się najmłodszymi pociechami, które albo gorączkowały, albo ząbkowały. W tym czasie starsze dzieci zajmowały się przeważnie pracą, ale problem był ze średnimi, bowiem te nie umiały być tak pomocne i często znikwały z obejścia na dłuższy czas. I takim właśnie średnim dzieckiem był Janek, który powinien paść owce, ale tego nie lubił. Jego głowa zajęta była wszystkim, co się wokół niego działo. Patrzył jak pszczoły zbierają miód, obserwował motyle, podglądał ptaki. Wszędzie go było pełno.

Pewnego razu chłopiec zauważył norę, do której lisica zносиła upolowane ptaki. Obserwował to miejsce przez kilka dni, aż w końcu doczekał chwili, gdy czarne noski młodych lisek wychyliły się z nory. Upodobał sobie jednego z nich. Bardzo chciał zabrać go do domu. Jednak gdy Janek zbliżył się do norki, ziemia zapadła mu się pod nogami. Jakoś udało mu się wyczołgać z jamy, ale był cały brudny i osmołony. Schylił się, aby otrząpać spodnie i nagle dostrzegł w jamie małe, błyszczące, czarne kamyczki. Chłopięcym zwyczajem pozbierał je i schował do kieszeni.

Wieczorem Janek wyciągnął znalezione w norze czarne kamienie i począł się nimi bawić. Mama zauważyła, że strasznie się przy tym ubrudził. Nakazała więc, aby umył ręce. Ale po chwili Janek ponownie się bawił i nie dość, że znów miał czarne ręce, to jeszcze poplamiał spodnie. Zdenerwowana matka nakazała mu natychmiast wyrzucić te „brudne”

kamienie. Janek cisnął je w piec, który po chwili zrobił się czerwony od żaru, dając tym samym przyjemne ciepło! Kamienie płonęły, najpierw niebieskim płomieniem, potem rozżarzyły się do czerwoności i na koniec zamieniły w popiół. Chłopiec opowiedział o tych dziwnych matce, ale ta - zapracowana - skarciła go, żeby nie zwracał jej głowy. Późnym wieczorem, gdy ojciec wrócił z szynku, chłopiec przysiadł obok niego na drewnianej ławie. Jemu też próbował opowiedzieć o dziwnych kamieniach, które po wrzuceniu do pieca wypalają się na popiół. Ale i ojcu nie bardzo chciało się wierzyć w fantazje chłopca. Następnego dnia Janek znów zawędrował do jamy liska. Nazbierał pełne kieszenie tajemniczych kamieni. Ponowił próbę: wrzucił je do pieca i czekał. Już po chwili w izbie było przyjemnie ciepło, a w piecu, aż huczało. Kamienie rozżarzone do czerwoności paliły się przez długą chwilę. Matka wreszcie zainteresowała się zabawą chłopca. Zwróciła uwagę na płonące kamienie, bo dzięki nim jadło tego dnia ugotowało się szybciej niż zwykle. Rozmówiła się z mężem i uradzili, że pójdą zobaczyć do listej jamy. Podążali za chłopcem w milczeniu. W końcu dotarli do celu i Janek wskazał rodzicom listią norę. Nazbierali sporo kamieni. Piec wesoło huczał cały czerwony od dziwnych węgli. Już po kilku dniach wieść rozniosła się po całej wsi. Ludzie zbierali tajemnicze czarne kamienie i zanosili je do swoich domów. Po pewnym czasie, zadowoleni z ciepła, już nie tylko wybierali węgle z jamy, ale i wokół niej poczęli kopać. Kamienie bowiem sprawiały, że w domu było cieplej i strawa gotowała się szybciej. Z każdym dniem węgla wydobywali coraz więcej i więcej. I tak z nic nieznaczącej listej jamy, dzięki ciekawemu dziecku, odkryto na naszych ziemiach węgiel. W miejscu, gdzie lisica miała młode, powstała pierwsza kopalnia węgla na terenie Wałbrzycha. Nazwano ją „Lisią Sztolnią”. Z czasem zaczęły też powstawać inne miejsca wydobywania węgla. Rozwinęło się górnictwo i kminy poczęły wyrastać jak drzewa. Na pamiątkę pierwszej kopalni w Wałbrzychu ustawiono wielki kamień z emblematem górnictwa, młotkiem i perłikiem oraz napisem, że w tym miejscu 18 czerwca 1794 roku z podziemi wypłynęła pierwsza barka z węglem. Nieco dalej nad bramą jednego z budynków umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą górnika pchającego łódź. Było to godło karczny „Pod Żegluga”, w której pokrępaliali się woźnicy czekający na węgiel. Zasiadali w niej też górnicy po pracy i opowiadali o tym, jak to Karkonosz - duch gór i skarbów podziemnych - przechadza się po kopalnianych korytarzach.

Liliana Wiercińska-Gronus



Legenda o Słonecznym Zegarze

Działo się to w czasach, gdy Wałbrzychu zaczynał królować przemysł. Wówczas wielu mężczyźni pracowało w kopalniach - właściwie w każdej rodzinie był gwarek, czyli górnik. W mieście codziennie słychać było stukot końskich kopyt, bo po wałbrzyskim bruku mknęły na targ furmanki pełne węgla i innych, różnorodnych towarów. Co rano też syreny fabryczne ogłaszały nowy dzień pracy. Garncarze, tkacze, włókniarze, ceramicy, handlarze, praczki oraz robotnicy różnych jeszcze innych profesji mijali się na ulicy i wzajemnie pozdrawiali, życząc udanego dnia.

Jednym z wałbrzyskich gwarków był Janek, czyli Hans, chłopiec wyjątkowej urody: miał ciemną czuprynę, sumiaste wąsy i piękne oczy, w których błyszczały ogniki. Mimo ciężkiej pracy, jaką wykonywał głęboko pod ziemią, zawsze chodził uśmiechnięty. I to ten uśmiech najbardziej podobał się Barbarze, córce właściciela jednej z kopalń. Dziewczyna często stawała na balkonie swojej kamienicy przy głównej ulicy miasta. Lubiała obserwować ludzi, a najbardziej właśnie Janka. Ten, wracając po pracy do domu, posyłał jej zawsze wesołe uśmiech i kłaniał się nisko, zamiatając czapką bruk. Dziewczyna adorowana w taki sposób odkłaniała się delikatnie młodemu mężczyźnie i machała haftowaną chusteczką. Co dnia stawała na balkonie i z niecierpliwością wypatrywała przystojnego chłopca.

Ale nie wszystko zawsze było takie proste. Bywały bowiem dni, że zdarzały się poważne wypadki, a najczęściej krwawe żniwo zbierały w kopalniach. Niejednokrotnie więc syreny kopalniane odzywały się w ciągu dnia, dając znać o nieszczęściu. Zrozpaczone kobiety biegly wówczas pod bramy kopalń i wypatrywały swoich mężów i synów. I zdarzyło się, że pewnego pochmurnego dnia kobiety prały bieliznę w Młynówce spoglądając w niebo z nadzieją, że może jednak nie spadnie deszcz. Nagle

ozwały się syreny, a to oznaczało tylko jedno: wypadek w kopalni! Tłum ludzi zaczął gromadzić się pod bramą. Na balkonie stała też zaniepokojona Barbara. Ziębnięta, głucha na prośby służby i ojca, że powinna wejść do bawialni, bo grozi jej choroba. Z niepokojem wypatrywała Janka. Ludzie spoglądali w niebo z nadzieją na choć jeden promień słońca, który pozwoliłby im przekonać się, która może być godzina, bo wydawało im się, że od chwili, gdy zawyły syreny, upłynęła wieczność i nastąpiła noc. A syreny wyły i wyły. Strach rozchodził się po mieście wraz i ich sygnałem i z pogłoską, że węgiel przysypał wszystkich gwarków. Drżało też serce Barbary, która nagle uświadomiła sobie, że może już więcej nie zobaczy Janka. Można sobie więc tylko wyobrazić, jak wielką ulgę odczuli mieszkańcy, kiedy okazało się, że tym razem gwarkom udało się ująć cało z zawatu węgla. Bliscy prowadzili obolałych mężczyzn, którzy szli z obandażowanymi głowami i rękami. Wszyscy byli jednak szczęśliwi, że tym razem wszystko skończyło się dobrze. Wśród wracających Barbara wypatrywała także Janka. Ten - jak zwykle - pokłonił się młodej pannie. I choć koledzy śmiali się, że on biedny, czarny gwarek tęsknym okiem spoglądał na bogatą pannę na balkonie, chłopiec był szczęśliwy, że może znów ujrzeć Barbarę. Bo były to czasy, kiedy biedny chłopiec nie miał szans, aby starać się o rękę bogatej panny.

Dziewczyna uprosiła ojca, aby pod balkonem ich kamienicy umieścić zegar słoneczny. Ludzie nie tylko będą wiedzieli, która jest godzina, ale także ile czasu minie od momentu, gdy górnicy znowu wyjdą z kopalni do swoich bliskich.

Liliana Wiercińska-Gronus



Skarby Pelcznicy

Wzięto się to wtedy, gdy na świecie nie było jeszcze naszych pra-, pradziadków. Wówczas dolnośląski region porastały stare i ogromne drzewa, tworzące piękne bory i nieprzebyte puszcze. W Wałbrzychu i jego okolicach próci ludzie trudnili się rolnictwem, wyrabiali garnki albo szyli grzebne szaty. Polowali na zwierzynę, a ze skór robili rzemienie i odzienie na zimę. O majątnym życiu na zamkach słyszeli tylko z opowiadań wędrowców. A jak to z opowieściami zwykle bywa, każdy coś dodawał i w ten sposób powstawały niesamowite historie na temat ogromnych bogactw. Im więcej opowiadano o życiu na zamkach, tym opowieści stawały się coraz barwniejsze. Ale czasy wtedy były też inne: rządźli mądrzy i gospodarni władcy. Sprowadzali bogate materiały, srebrne naczynia i lichtarze – na całym Dolnym Śląsku rozwijał się handel, przyjeżdżali tu nawet kupcy z dalekich, zamorskich krajów. Moźni panowie i pracownicy rzemieślnicy rozbudowali kraj: wznosili wspaniałe zamki, okazałe klasztory, kościoły i bogate kamienice.

Niestety, po śmierci ostatniego z zapobiegliwych i gospodarnych Piastów nastąpiły ciężkie czasy. Najpierw dla kupców, bo to na ich karęty i powozy zaczęto napadać w pierwszej kolejności. Z czasem rabusie zajęli się okradaniem grodów i zamków. Trwało to długie lata. Biedni popadali w ubóstwo, bogaci ubożeli. Gromadzony przez lata majątek przepadał w ciągu jednej nocy. Grody nie tylko okradano, ale i podpalano: dla zatarcia śladów bądź z zemsty, że łup nie spełniał oczekiwań złodziei. Przez dwieście lat dolnośląskie zamki nie potrafiły obronić się przed napadami groźnych band i rzezimieszków. Kradli oni nie tylko to, co świeciło się złotem i srebrem w bogatych komnatach. Ich łupem padał też żywy inwentarz: nie gardzili kurami, kaczkami; kradli prosiaki i konie. Ogołocali piwniczki z wina i zapasów. Dochodziło do tego, że jedni okradali grody, drudzy grabili tych, którzy z łupami wracali. Znane bandy na terenie Dolnego Śląska tworzyli dzierżawcy zamków: Grodno, Radosno, Rogowiec, Cisy czy też Książ. Ale była też złodziejska banda

leśnych ludzi, na czele której stała kobieta – kierowała swoimi pięcioma braćmi. A było to tak: rodzeństwo zostało osierocone bardzo wczesnie. Dopóki bracia uprawiali ziemię i mało stykali się z obcymi, żyli jak Pan Bóg przykazał. Kiedy jednak dorosli i zaczęli zachodzić do karczmy, poczęli się przysłuchiwać, jak wędrowcy opowiadają o zasłyszanych napadach. I zaczęło braciom świtać w głowach, że pewnie i oni mogliby też dokonać napadu na jakiegoś możnego pana, który jechałby karetą. Obmyślili plan i wdrowyli go w życie: złupili garść talarów i jakieś świeczące brosze. Czuli, że już teraz wszystko potrafią zrobić. Najtrudniej jednak było przyznać się siostrze, czego dokonali. Ale jakie było ich zdziwienie, gdy siostra – po obejrzeniu skarbów – wrzasnęła na całe gardło:

– Wy darmozjady! Wy niedojdy! To ja wam piorę, gotuję, ceruję, a wy co? Teraz się dopiero przyznajecie, że umiecie kraść?! No już, szybko! Następną wyprawę szykujcie! I mi tu dukatów, i talarów całe garście macie przynieść!

Ledwie chłopcy noc przespali, a już omawiali kolejną wyprawę po skarby. Następnym razem zastawili łupami cały stół w izbie. Były to miski, czarki, srebrne kufle, czerwone paciorki nadziane na nici. Żółte kamienie o nieregularnych kształtach, lichterze bogato zdobione, krzyże rzeźbione i pełne trzosi dukatów.

Ale siostra krzyczała dalej:

– Tylko tyle?! A wy niedorajdy!...

I gdy ledwo wstało słońce, siostra budziła braci:

– Szybko wstawać! Po dukaty mi się zbierać, a nie marudzić!

Każdy pieniądz, każdą miskę i grawerowaną łyżkę, słowem wszystko, co zrabowali bracia – siostra chowała głęboko w skrzyni, a z każdym dniem zachłanna dziewczyna chciała więcej i więcej... Bywało, że chłopcy do grodu, który chcieli ograbić, jechali po kilka dni w jedną stronę. Po drodze dochodziło niekiedy do bójek i rozboju z innymi bandami, więc bracia-rabusie dostawali bolesne ciosy, a rany i siniaki długo się goiły. Siostra nie zważała na okaleczonych braci. Robiła im jakieś kompresy z ziół, wypowiadała nad nimi zaklęcia i... to było całe współczucie z jej strony. Chytrą kobietą nie miała granic. Wszystkie skrzynie w chacie zapełnione były dobrami. I na strychu, i w piwnicy petno było izłota, i srebra, i drogich kamieni. Bracia ograbili już wszystko w okolicy. Ale pewnego razu jeden z nich powiedział, że słyszał o zamku na skale, który Książ się

zowie. W nim są ponoć tak duże skarby, że trudno je udźwignąć. Uradzili więc, że pójdą do zamku następnej nocy, ale zabiorą ze sobą siostrę, bo jeśli w zamku jest tak dużo skarbów, to jedna osoba więcej nie zawadzi. Jak postanowili, tak zrobili i kiedy zapadła noc, rozpoczęli wyprawę do Książa. Konie uwiązali na skraju lasu, a sami podchodzili pod mury zamkowe tak ostrożnie, aby nikt ze strażników ich nie dostrzegł. Ale tej nocy straszno było wszędzie, bo rozpętała się burza z piorunami i wichur począł łamać gałęzie. Rodzeństwo rabusiów ograbiło jednak zamek, a łupy zapakowało do worów. Każdy z braci wziął po jednym worku na plecy, ale ciężar złota pochylał ich do ziemi. Siostrze mało było jednego worka, więc dodatkowo wzięła w drugą rękę kolejny napełniony do połowy. Wtem piorun uderzył w zamkową wieżę, oświetlając objuczonych rabusiów. Straż zadzwoniła na alarm i ruszyła w pogoń za rzezimieszkami. Rodzeństwo uciekało w popłochu, bojąc się straży i grzmotów. Wbiegło na drewnianą kładkę łączącą brzegi Pelcznicy. Niestety, spróchniały mostek nie udźwignął ciężaru sześciu osób i wielu kilogramów złotych monet. W jednej chwili kładka załamała się i rabusie powpadali do rzeki Pelcznicy. Wtedy z jeszcze większą siłą dała znać o sobie burza. Wystraszeni złodzieje nie próbowali nawet zbierać rozsypanych na dnie rzeki monet. Chłopcy, ze strachu przed strażnikami, ale i przed siostrą, rozpięchli się na cztery strony świata. Siostra z żalu nad utraconym skarbem postradała zmysły. Ponoć błąka się po lasach i do wtóru z wiatrami woła:

– Złoto! Złoto!...

Bracia więcej już nie kradli, bo doszły do nich wieści, że możny pan władający Śląskiem – król węgierski Maciej Korwin – wprowadził surowe kary dla rzezimieszków. Rozkazał palić ich domostwa i zamykać w lochach na długie lata.

Przez lata wielu śmiałków próbowało szukać złota w Pelcznicy. Ukazuje się ono ponoć w noc świętojańską dokładnie o północy, lśniąc w świetle księżyca. Skarbu jednak pilnują strażnicy zamkowi – ci sami, którzy zostali ukarani za niedopilnowanie skarbcza przez ścięcie na gilotynie. Do dziś ich dusze zamieniają się w groźne psy, które strzegą brzegów rzeki.

Utracane szczęście

amczysko zwane Nowym Dworem stało na wysokiej górze, która była porośnięta tak wysokimi drzewami, jakby do nieba wspiąć się chciały. Onegdaj panami Nowego Dworu byli bracia z rodu von Czettritz. Wieść o ukrytych tam skarbachniosła się po okolicy. Wielu śmiałków próbowało swoich sił, żeby tajemniczy skarb odnaleźć. Jednak miejsce zrabowanych na szlakach handlowych skarbów wiadome było tylko owym braciom.

W jednej z wiossek u podnóża góry zamkowej wraz z całą rodziną żył drwał z imienia Grundel. W chacie bieda wyzierała ze wszystkich kątów. I dnia pewnego, kiedy dziadki jeszcze ze snu oczu nie przetarli, matka już ogień rozpalila i strawę gotować poczęła. Kotem zasiedli przy drewnianym stole na środku misę z dymiącą kaszą stawiając. Rodzina była liczna, każdy dzierżył w ręku łychę, aby mógł sięgać po strawę do wspólnej misy. Zaczął najstarszy, czyli Grundel, potem dzieci w kolejności od starszeństwa a na końcu matka. Za drugim nawrotem ukazało się puste dno miski. Ojciec ze smutkiem patrzył na wyglodniałe dziatki i wielka złość go brała, i niemoc wszelaka, że nijak biedzie zaradzić nie może.

Ze zwieszoną głową ciężką od trosk wyszedł Grundel z chaty jak co dnia do boru, gdzie w pańskich lasach najął się jako drwał do ścińki drewna. Szedł wolno, strapiiony w rozmyślaniu swoim rady szukając, jakby tu biedę z chaty przegonić. Na nic zdały się rozmyślania - rady takowej nie znalazł.

- Jeno nam z głodu pomrzeć przyjdzie! - westchnął.

- Z głodu nie pomrzecie. Ja ci to powiadam, jakim wiekowy starzec, strażnik skarbu w Nowym Dworze - odezwał się ni stąd ni zowąd głos jakoby z podziemi pochodzący.

Pewnie to z głodu jakieś omamy mnie dopadły - pomyślał drwał - albo bies jaki mnie nachodzi. Wystraszony Grundel stanął jak wryty pośrodku lasu. Wtedy znów głos usłyszał:

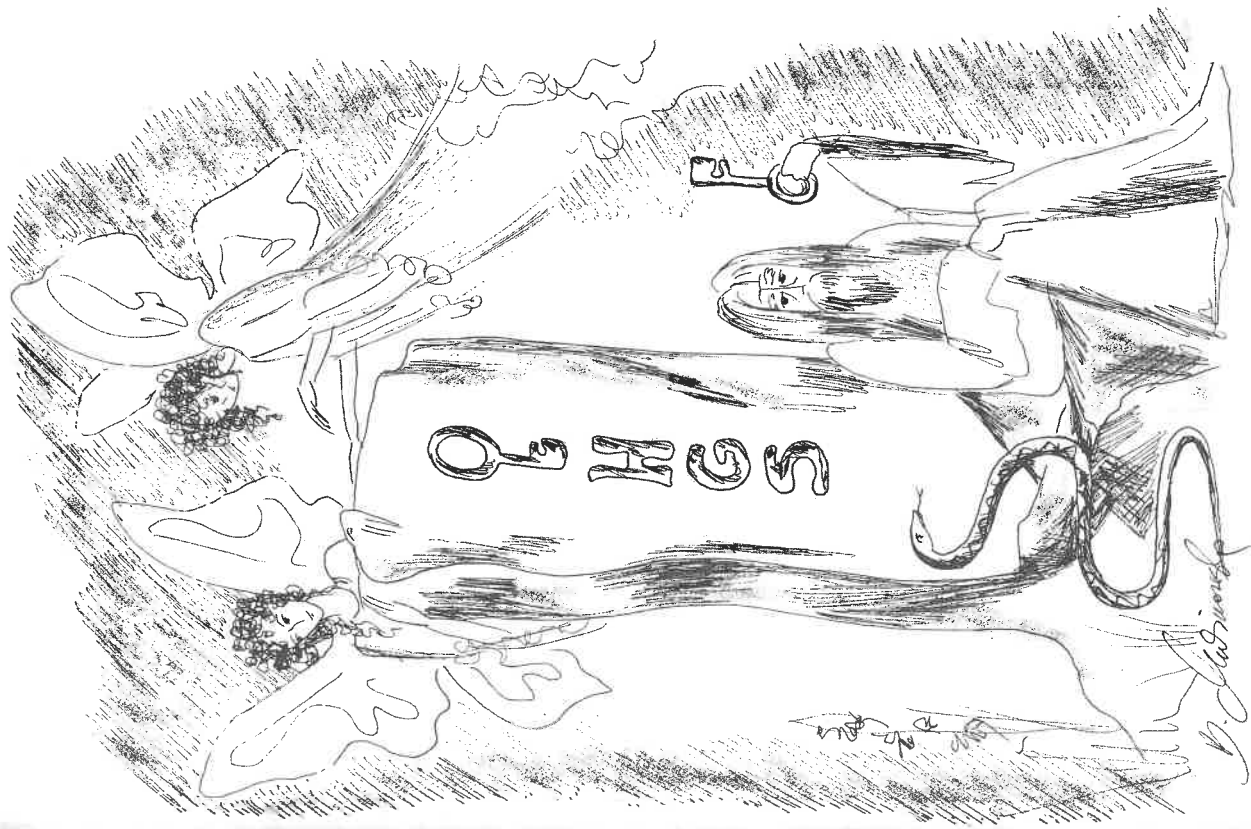
- Dzisiaj o północy wejdź na wysoką górę, gdzie Nowy Dwór stoi i wstąp na dziedziniec zamkowy przez żelazne wrota. Czekać cię tam będę i wskażę,

gdzie skarb wielki ukryty. Zobaczysz tedy wielkie dziwy, ale nie bój się, bo wszystko stracisz!

Zapadła grobowa cisza, wiatr powiał gdzieś za wysokie góry, drzewa stały nieruchomo, nawet ptaszęta zamilkły w swoim świergotaniu. Kiedy Grundel oprzytomniał, postanowił w swoim zamysle - nie mówiąc nic nikomu - wybrać się na zamek już tej nocy.

Strachać się nie będę, mówił sam do siebie, chłop jestem silny nie jedno drzewo tegie a grube co w sześciu chłopu obłąpić zdołali, z moich rąk na ziemię się kładło. Tedy żadne dziwy wystraszyć mnie nie mogą. Idąc ciemnym borem, marzył chłopina niczym na jawie: dziecka na grzbietach nowe koszule mają, gęby roześmiane do sytości nakarmione, żona w nowej zapasce po obejściu się krząta, doglądając inwentarza: garściami ziarno kurczętom podsypuje. W obórcie krasula siankiem się pasie, a w chlewiku świnki dorodne pokwikują. Niech no tylko skarb odnajdę, myśli sobie - to i z sąsiadem się podzielię tym, co będzie zbywało.

Doczekał wieczora i nic nikomu nie mówiąc, udał się w drogę do zamku. Ale łatwa ona nie była: skały i ciernie ranity ciało drwala. Grundel jednak uparcie szedł, nie bacząc na zwałiska skalne i na węże jadowite między głazami wijące. W końcu drwał stanął przed bramą, za którą znajdował się zamkowy dziedziniec. Ale strach go obleciał. Zewsząd ciemności wielkie, choćby rękę wyciągniesz - końca palców nie dojrzysz. Tedy stał chłop bez ruchu jak w ziemię wrosły. Z oddali słychać było jeno dzwon kościelny, który wybijał północ. Wtem żelazna brama z wolna zaczęła się otwierać bez niczyjej pomocy. Grundel zobaczył na środku dziedzińca ogromny granitowy głaz, na którym wykute były tajemnicze litery i klucz. Od owego kamienia biła taka wielka jasność, jakby ogień we środku się jarzył. Wtem z ciemności zaczęły wylazić przerażające stwory: niby-ludzie, ale z końskimi grzywami i kopytami u nóg, inne znów jakby motyle z kobiecymi głowami, tudzież węże syczące wokół kamienia świetlistego się okręcały i przemieniały w straszliwe potwory z gębami gnomów i koboldów, a na to wszystko muzyka straszna, snuła się pomiędzy te nieziemskie stwory, jakoby dym z ogniska palonego na ściernisku. Pośrodku kamienia, w świetlanej poświacie ukazał się starzec z długą siwą brodą. Trzymał w ręku klucz złocisty pasujący do wizerunku wykutego w kamieniu. Wtem muzyka rozbrzmiała na całym dziedzińcu, jakoby w ruinach ze sto skrzypków robiło smykami. Jasniejąca postać ręka dała znak, aby się drwał zbliżył. Grundel postąpił krok do przodu,



ale go taka niemoc przez to niezwykajne czarodziejskie granie zmogła, że się jak kłoda na ziemię obalił i potoczył bez pamięci w dół urwiskiem skalnym.

Kiedy przyszedł do przytomności, postanowił w rozwadze swojej powrócić na zamek. Okrzepli w siłę ponownie wspiął się na wysoką górę. Gdy dotarł ponownie na szczyt, brama na zamkowym dziedzińcu była otwarta, kamień z tajemniczymi znakami prawie niewidoczny. Wokół panowała gęsta ciemność, jeno wicher między ruinami wył jak na sąd ostateczny. Zasmucił się drwal, że cała wyprawa poszła na marne, że bezpowrotnie utracił sposobność odnalezienia skarbów ukrytych w ruinach zamku.

Dobrze już słoneczko na niebo się wspięło, kiedy Grundel wrócił do chaty, gdzie na progu czekała srogo rozgniewana żona wymówki mu czyniąc, że łązi po próżnicy po lesie, a żadnego pożytku nie ma. Choćby grzybów naniósł i to nie, z rękami gołymi do chaty wraca, gderając rozsierdzona baba. Grundel w milczeniu znosił wymówki rozgniewanej żony. Błady i wyczerpany powłókt się na powrót do lasu na wycinkę drewna.

Tego samego dnia wieść gruchnęła po wsi, że jakoby jednego drwała w lesie drzewo na śmierć przywaliło. Jak się potem okazało, był to ów Grundel, któremu nie było przeznaczone odnalezienie skarbu w ruinach zamku.

Ktokolwiek odważy się o północy wejść na zamkową górę, gdzie ruiny ostały się jeszcze, zobaczyć może przy świetle pełni księżyca dziedzińiec a na jego środku kamień. Siedzi na nim duch drwała imieniem Grundel, któremu nie dane było odnalezienie skarbów ukrytych w Nowym Dworze.

Weselisko

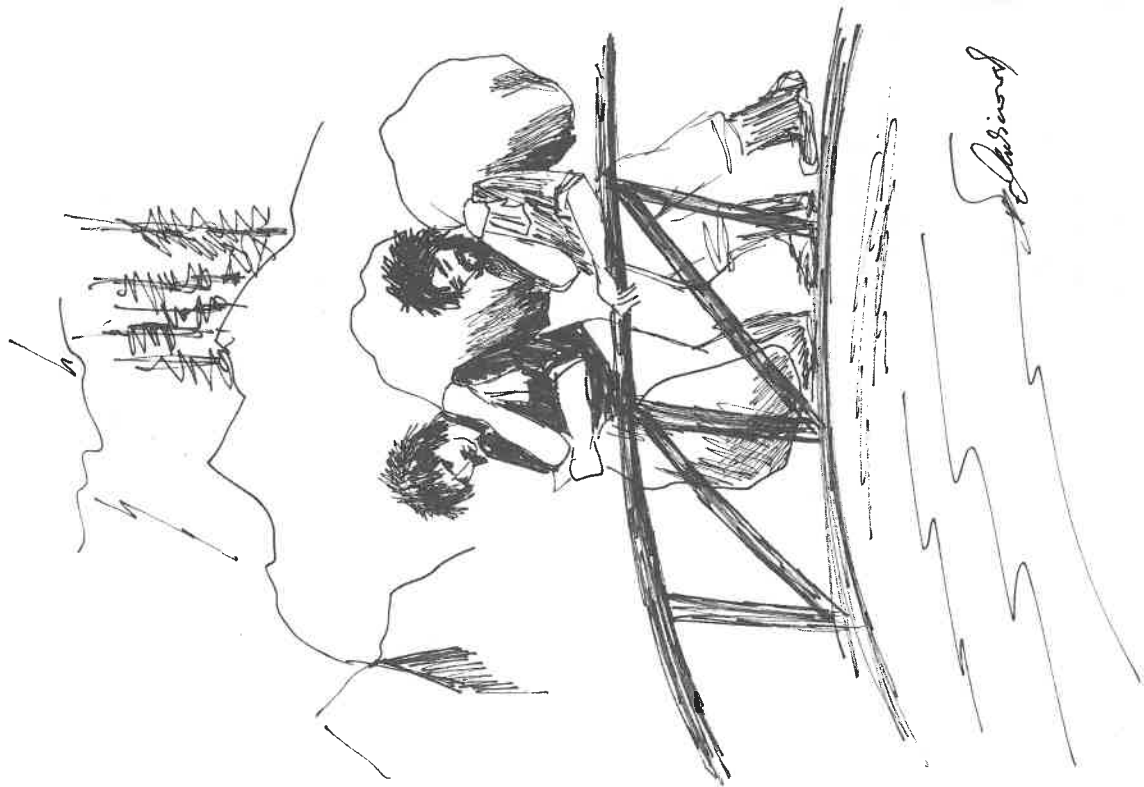
FF

istoria ta zdarzyła się w czasach, gdy to bogate europejskie dwory wysyłały swoich dzielnych rycerzy do walki z tymi, co na wiarę chrześcijańską zbrojnie nastawali. Wówczas to na wezwanie Papieża rycerz z rodu Schaffgotschów – pan z Nowego Dworu – sposobił się na wyprawę z całym zastępem rycerzy dobrze wprawionych w fechtunku i licznych orszakiem giermków, aby w wojowaniu przy taborze na usługach byli pomocni.

Aby godnie odprawić wszystkich, co do walki się sposobili, na zamku wydano pożegnalną ucztę. Stoły uginaty się od jadła, a beczułki wina pełne od jednego do drugiego końca stołów podawano, żeby puchary na toasty winem napełniać. Muzykanci grali, a młodzieńcy dziewczynki obłapiali i ruszali w tany. Jenó małżonka rycerza i dziewczynki siedzące markotni i zasmuceni byli wiele, że męża i ojca żegnać im przyszło. Uczta jednak trwała do białego świtu. Rankiem dnia następnego rozpoczęła się wielka krzątania na dziedzińcu. Zaczęto zaprzęgać wozy z ekwipażem, konie pod siodło ze stajen wyprawiać, jadło i wszelaki sprzęt na fury ładować. Wreszcie przyszedł czas na pożegnania. Tumult wielki zrobił się na dziedzińcu zamkowym: ci, co zostać musieli, żegnali tych, co na krucjatę do ziemi świętej ruszali. Rycerz na pożegnanie uściśkał małżonkę i dziewczynki, które głośno pochlipując przypadły do nóg ojca. Schaffgotsch raz jeszcze spojrzął na piękną żonę i położył sobie na sercu otrzymaną od niej haftowaną chustkę – na znak wierności małżeńskiej. Potem wsiadł na konia i z całym zastępem ruszył w drogę.

Rycerz miarkował, że rychło z wyprawy na zamek powróci. Jednak krucjata ciągnęła się latami. Niejedni rycerze powrócili już i cało, i w zdrowiu, a na pana w Nowym Dworze rodzina czekała nadal. Małżonka hrabiego wędła w oczach, jako dziewanna w polu bez dżdżu. Lata mijały, drzewa po wielokroć owocem się obsypały, ptaszęta dla wielu rodzin gniazda pozakładały, a pana z Nowego Dworu nie było nadal.

W końcu uznano, jakoby na polu walki życie położył, a jego piękną



małżonkę uznano za wdowę po rycerzu. Rodzina hrabiego nie mogła uwierzyć w jego śmierć aż do czasu, kiedy na zamku zjawił się jeden z giermków pana z wiadomością o bohaterskiej śmierci von Schaffgotscha. Żadne słowa nie oddadzą tego, jak wielka żaloba zapanowała w Nowym Dworze. Nawet słońce przyćmiło swój blask, wierzby rozplakały się na dobre, gołębie smętnie w gromadzie na dachach siedziały, jakby im tchu do latania zbrakło. Gwiazdy nocą rozprysły się po niebie niczym lzy opadłe na żalobny kir. Rok cały smucili się wszyscy po utracie pana Nowego Dworu.

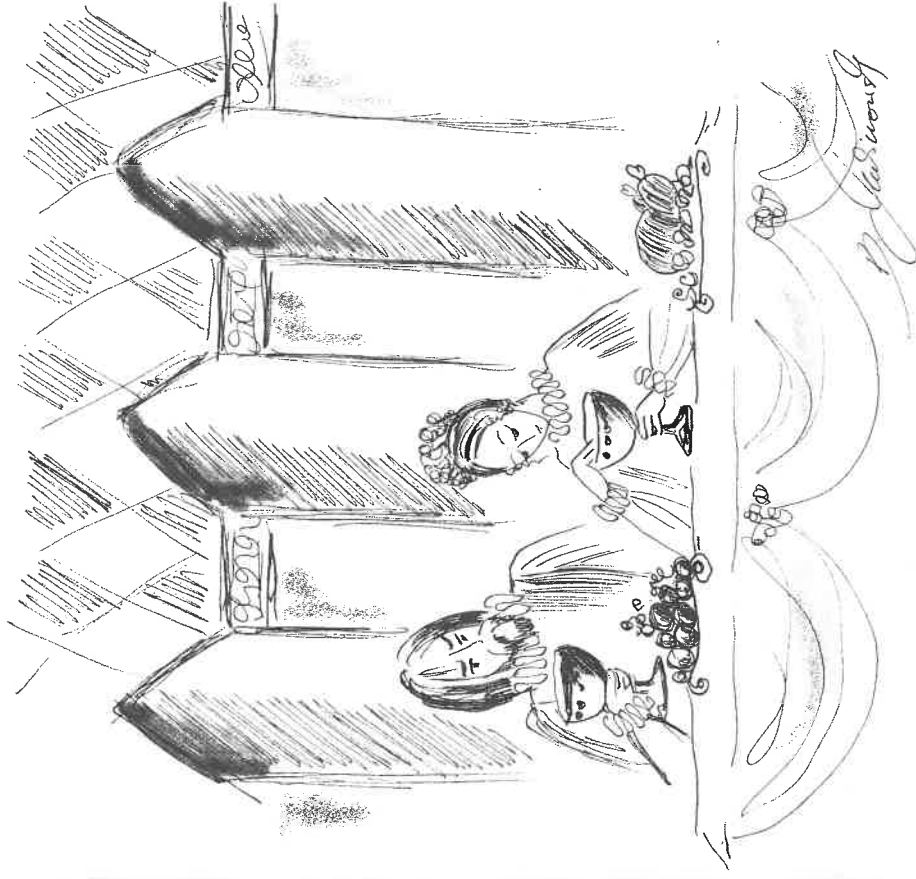
Wdowa, choć lat jej przybyło, nie straciła urody – jeno lico białe nieco bardziej pobladło. Przyszedł w końcu czas, gdy okres żałoby po bohaterskim rycerzu minął i życie na zamku powoli wracało do codzienności. Wielu szlachetnie urodzonych staroło się o rękę pani na Nowym Dworze – pięknej i majątnej kobiety. W końcu ogłoszono jej zaręczyny z rycerzem z Turynгии hrabią Hugonem von Gleichen.

Zaczęto przygotowania do hucznego weseliska, pamiętając przy tym o zachowaniu zwyczajów: jeśli kto w dniu wesela na zamek by przybył, a spragnionymi i głodnym będzie, należy go szklanicą wina uraczyć i do syta nakarmić.

Druhny odświętne suknie przywdziewały i z polnych kwiatów wianki wiyły, ku ozdobie we włosy wpinając. Pannę młodą oblubieniec klejnotami obdarował: bransoletami, zausznicami świecącymi ze złota, broszami, które perłami i szmaragdami wysadzone były. Jednak wszystkie te kosztowności nie cieszyły wdowy po Schaffgotschu: siedziała samotnie w zamkowej komnacie, bez uśmiechu na licu, bez radości w oku, zapatrzona nie w te klejnoty, jeno w okno, gdzie drogę widać, którą ukochany mąż na wyprawę wyruszył. Z żalu łza oko zmąciła i cicho opadła do stóp na atlasową ciężemkę. Nagle do komnaty weszła służka i rzekła:

– Czas do ślubowania miłościwa pani. Oblubieniec czekaniem się niecierpliwi. I goście uczy doczekać się nie mogą.

Wdowie nie w smak było nowe zamążpójście, toteż siłą woli zwlekała nieco. Tymczasem wśród zaproszonych przybywających gości pojawił się tajemniczy, nikomu nieznanym człowiek. Ubrany był odmiennie, niczym żebrak albo wędrowiec z zamorskich krajów. Szaty na nim były potargane, choć – co trzeba przyznać – nosiły ślady zaprzeszłej świetności. Zgodnie ze zwyczajem wszyscy mieli prawo do ucztowania w dniu weselnym, toteż



służba pomna nakazom pani, zawiodła owego nieznanego wędrowca do kuchni, gdzie trwały ostatnie przygotowania. Podano mu wino i jadlo.

Tymczasem służba w pocie czoła dwoiła się i troiła, wynosząc zaproszonym gościom jadlo na stoły: na srebrnych półmischach pieczone bażanty w kolorowe pióra przybrane, prosięta w całości, kosze pełne chleba, kołaczy i przysmaki zamorskie szlakiem handlowym przez kupców przywiezione. W końcu i kielichy pełne wina na stoły zaniesiono. Ów nieznamomy siedząc w kącie kuchni śledził bystrym okiem krzątanie się służby i także zmiarkował, które kielichy przed kim postawią na wzniesienie toastów. Przechodząc koło zastawy niepostrzeżenie wrzucił coś do kielicha przeznaczonego dla przyszłej panny młodej. Wtenczas, kiedy weselnicy zasiedli za stołem, najstarszy z rodu von Schaffgotschów ujął w ręce kielich pełen wina i wygłosił mowę weselną. Na część przyszłych państwa młodych zaczęto wznosić toasty. Pani uniosła kielich do ust i nagle błysk światła uwidocznił leżący na dnie kielicha klejnot cudownej urody: jako żywo rozpoznała pierścień ślubny poległego w boju małzonka!

Natychmiast przywołała straż zamkową i nakazała rozpytać, jakim cudem ów pierścień znalazł się w jej kielichu. Całą służbę wzięto na spytki i po przemyśleniu całej tej sprawy orzeczono, że nikt inny – jeno ów przybysz – nieznanym pierścieniem ze sobą przyniósł i do kielicha wrzucił.

Straż zamkowa przywiodła więc przed oblicze pani tajemniczego mężczyznę. Gdy stanął przed uczującymi, rozpoznano w nim zaginionego pana z Nowego Dworu. Wielka radość napełniła wszystkie serca. Małżonkowie uścisnęli się gorąco na powitanie. Białogłowa rumieńcem spłonęła, gdy małżonek składając pocałunek miłości na jej ustach, haftowaną chustą osłonił ich oboje od rozbawionej gawiedzi. Grajkowie dziarsko przygrywali, dziewczki w tany z parobkami ruszały – tak się wszyscy w radości zapamiętali, aż o ślubie zapomnieli. Ale tylko na dwa tygodnie. W dwie niedziele po szczęśliwym powrocie pana Nowego Dworu wyprawiono prawdziwe weselisko najstarszej córce z rodu von Schaffgotschów, która została małżonką rycerza von Gleichen z Turynгии.

Danuta Orska